

Jerzy Czerwonko

**Goście naszego Instytutu
(w najweselszym baraku obozu)**



Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej

Instytut Fizyki Politechniki Wrocławskiej

Jerzy Czerwonko

**Goście naszego Instytutu
(w najweselszym baraku obozu)**

*Włodkowi - oby dobrze przynależnie
było miłej wspominać!*

J. Czerwonko



Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej
Wrocław 2004

Redaktor
Alicja Kordas

Korekta
Aleksandra Wawrzynkowska

© Copyright by Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej, Wrocław 2004

ISBN 83-7085-810-4

OFICyna WYDAWNICZA POLITECHNIKI WROCLAWSKIEJ
Wybrzeże Wyspiańskiego 27, 50-370 Wrocław

Drukarnia Oficyny Wydawniczej Politechniki Wrocławskiej. Zam. nr 584/2004

Dwóch gości Instytutu Fizyki Politechniki Wrocławskiej, z okresu mojego „dyrektorowania” – Aleksiej A. Abrikosov i Antony J. Leggett – zostało w roku 2003 współlaureatami Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki. Zdarzyło mi się, a także moim uczniom i współpracownikom, pracować w dziedzinie Ich zainteresowań. Na seminariach trzeciego z laureatów – Vitalego L. Ginzburga – bywałem w roku 1975. Spotkałem Go także na sympozjum w Szklarskiej Porębie w roku 1979, organizowanym przez Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN we Wrocławiu.

Spośród ubiegłorocznych laureatów opowiem tylko o Abrikosowie i Leggetcie, którzy – po pobycie na Szkole Fizyki Teoretycznej Uniwersytetu Wrocławskiego w Karpaczu – spędzili w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w Instytucie Fizyki Politechniki Wrocławskiej „mezoskopowy” interwał czasu – po miesiącu.

Co skłania mnie, poza bezpośrednim impulsem, do przelania tych wspomnień na papier? Czas w okresie przemian płynie nader szybko i szczegóły wydarzeń są momentalnie zapominane. Posłużę się obrazem znakomitego, nieżyjącego już poety rosyjskiego Dawida Samojłowa w Jego *Wierszu wolnym* (po rosyjsku „verlibr”(!)). Na obrazie malowanym w trzecim tysiącleciu, przedstawiającym rozmowę Mikołaja I z Puszkinem, malarz nieco zagęszcza materię historyczną – car *zapropozował Puszkiniowi /wisky and soda/ a on nie odmówił*. Ten celowy anachronizm też się stanie wkrótce nieczytelny. O Samojłowie jeszcze wspomnę w związku z jednym z naszych gości, i to od wczesnych lat sie-

demdziesiątych, doktorze honoris causa Politechniki Wrocławskiej Profesorze Moisiejju I. Kaganowie oraz – proszę sobie wyobrazić – wielkim poecie polskim Bolesławie Leśmianie.

Muszę się – niestety – w telegraficznym skrócie przedstawić. Inaczej fakt, dlaczego zapraszałem tych, a nie innych uczonych, stanie się niezrozumiałą. Studia fizyczne ukończyłem na Uniwersytecie Wrocławskim (UWr) w roku 1956. Specjalizowałem się w fizyce teoretycznej. Doktorat z teorii antyferromagnetyzmu obroniłem w roku 1962. Promotorem moich prac – dyplomowej i doktorskiej – był Prof. Jan Łopuszański, obecnie członek rzeczywisty PAN, który w roku 2003 obchodził swoje osiemdziesiąte urodziny. Bezpośrednio po doktoracie wyjechałem do Zjednoczonego Instytutu Badań Jądrowych (ZIBJ) w Dubnie. Zajmowałem się tam modelami jądrowymi oraz, w ogólniejszym planie, teorią cieczy Fermiego. Podobnej problematyce była poświęcona moja rozprawa habilitacyjna – nadprzewodzącej cieczy Fermiego z parami P, a więc o momencie spinowym równym 1, w jednostkach stałej Plancka. Kolokwium odbyło się w styczniu 1968 roku. We wrześniu 1968 roku podjąłem pracę na Politechnice Wrocławskiej (PWr) w Instytucie Matematyki, następnie w roku 1972 zostałem przeniesiony razem ze swoją grupą, przez Rektora Tadeusza Porębskiego, do Instytutu Fizyki (IF). Warunkiem mojej zgody był rok spokojnej pracy za granicą.

W roku 1975 znów musiałem się udać do Dubny, ale tym razem z synem. Moja Żona odbywała wówczas staż na Uniwersytecie Moskiewskim. Wydaje się a contrario, że obraz ojca – dyrektora któregoś z instytutów PWr, samotnie zajmującego się 12-letnim synem w polskich warunkach roku 1975, jest dostatecznie surrealistyczny. Taka wersja pelikana karmiącego potomstwo własną krwią! Mimo wszystko nasz pobyt z synem w Dubnie, z Żoną pracującą w nieodległej Moskwie i przyjeżdżającej na weekendy, był znośny, ze względu na dubnieńskie ułatwienia.

Teraz wróćmy, na krótko i po raz ostatni, do mojej kuchni naukowej. W późnych latach sześćdziesiątych zajmowałem się nadprzewodnikami z parami P (jak na ironię, odkryto je dopiero w ostatnich latach). W połowie mojego pobytu w Dubnie (1975 r.) przerzuciłem się na badanie dynamicznej podatności spinowej stanu, który wydawał mi się poprzednio stanem niektórych nadprzewodników (Sn i Hg), a okazał się jednym ze stanów nadciekłego 3-He. Mowa tu o pseudoizotropowej fazie P, wprowadzonej w roku 1963 przez Baliana i Werthamera (BW) dla nadprzewodników. Faza jest pseudoizotropowa, ponieważ funkcja falowa pary cząstek, jako funkcja względnego pędu i spinu, zawiera iloczyn skalarny tych wielkości. Osie kwantowania tych – wektorowej i pseudowektorowej – wielkości mogą być obrócone względem siebie. W tym właśnie tkwi owo „pseudo”. W tym czasie, o czym więcej szczegółów podam nieco później, obydwie fazy nadciekłego 3-He były, w dużym stopniu, zidentyfikowane, przy czym lwią teoretyczną część tej pracy wykonał A.J. Leggett. Dodajmy, że teorię nadprzewodnictwa z innymi parami P, w których cząstki pary nie mogą mieć spinów o przeciwnym rzucie, o stanie bliskim do fazy A nadciekłego 3-He, opracował parę lat przed moimi pracami na temat stanu BW Profesor Zygmunt Galasiewicz (UWr).

Tu ciąg logiczny zmusza nas do kroku wstecz w czasie. Od roku 1957 znana jest mikroskopowa teoria nadprzewodnictwa Bardeena–Coopera–Schrieffera, oparta na wykrytej wcześniej niestabilności Coopera stanu normalnego układu cząstek Fermiego, jeśli w ich oddziaływaniach dominuje przyciąganie – choćby najslabsze. Niedługo potem Lew Pitajewski, obecnie członek Rosyjskiej Akademii Nauk (RAN), zwrócił uwagę, że wzajemne przyciąganie atomów 3-He dominuje przy pewnych odległościach międzyatomowych. Niestety, oddziaływanie to nie było i nie jest zbyt dobrze znane. Lew Pitajewski, na nieszczęście dla siebie, powściągliwie nie doszacował temperatury przejścia; okazała się

ona w zakresie wtedy nieosiągalnym. W związku z tym nie spowodowało to poszukiwań nadciekłości ^3He . Zwróćmy uwagę, że fizycy-teoretycy zwykli raczej mieć doświadczalników, że przewidywany efekt jest tuż, tuż..., jeszcze tylko mały wysilek... Lew Pitajewski był gościem Instytutu Fizyki PWr w końcu lat siedemdziesiątych i miał cykl wykładów o teorii nadciekłego ^4He .

Wróćmy jeszcze raz do wczesnych lat siedemdziesiątych, początku renesansu gierkowskiego i do Profesora M.I. Kaganowa. Wydawało mi się, że w rozwoju naszego Wydziału Podstawowych Problemów Techniki (WPPT) fizyka, a więc i teoria, staje się potrzebna. Chciałem od razu trafić do Instytutu Fizyki, ale ówczesny pełnomocnik dyrektora instytutu powiedział mi: *teoria – tak, ale wyłącznie przez dwie godziny tygodniowo w jednym semestrze i tylko statystyka elektronów w półprzewodnikach*. Dlatego też na pięć lat powstał w roku 1968 Instytut Matematyki i Fizyki Teoretycznej.

W roku 1968 startowałem w PWr „na odyńca”. Próbowałem ściągnąć niektórych innych fizyków, głównie z Uniwersytetu, ale powyżej doktoranta lub starszego asystenta spotykały mnie odmowy.

Fizyka teoretyczna może stać się sensownym przedmiotem wykładu najwcześniej od trzeciego semestru. W związku z tym przez pierwsze trzy semestry wykladałem matematykę na WPPT: algebrę wyższą (fizycy i matematycy) oraz rachunek prawdopodobieństwa (SPPT).

Sprawa wykładów teorii na fizyce WPPT nie wyglądała optymistycznie, szczególnie jeśli uwzględnić, że teoria ciała stałego ograniczała się w Polsce w tych latach do teorii półprzewodników (Warszawa) i teorii magnetyków o zlokalizowanych momentach (Poznań i Wrocław). Dlatego ściągnięcie teoretyków, reprezentujących szersze podejście do problemu, wydawało mi się sprawą szczególnie ważną; każdy uczony wie, jakie lapsusy popełnia się, działając wyłącznie na podstawie dostępnej literatury, jeśli – ewen-

tualnie – pominąć matematyków. U nas podstawową rolę w oswojeniu nas z szeroką problematyką fizyki ciała stałego odegrał Profesor Moisiej I. Kaganow, dr h.c. naszej uczelni. Przebywał On wielokrotnie we Wrocławiu, również w czasie dłuższych, dwumiesięcznych, pobytów, prowadząc wykłady z wielu dziedzin teorii ciała stałego. Pobyty te wynikały z zaproszeń PWr, a także Międzynarodowego Laboratorium Silnych Pól Magnetycznych.

Profesora Kaganowa poznałem w lutym 1972 roku na Szkole Fizyki Teoretycznej w Karpaczu, organizowanej przez UWr. Był wtedy pracownikiem Instytutu Problemów Fizycznych (IFP), kierowanego przez Piotra Kapicę, późniejszego laureata Nagrody Nobla, o którym tu jeszcze będziemy mówili. Przywiózł mi pozdrowienia od moich serdecznych znajomych Włodka i Niny Sokołowów, eksperymentatorów z Uniwersytetu Moskiewskiego. Przywiózł mi od nich pozdrowienia i dobry koniak, tuż przed moimi 36 urodzinami. (W 1975 roku Włodek zginął, niestety, w katastrofie samochodowej). W wolne popołudnie pierwszego dnia Szkoły poszliśmy na piwo do Orlinka. Tam zacytowałem mu wiersz Dawida Samojłowa o Jezusie, nigdzie nieopublikowany, jako że ta tematyka w ZSRR nie miała prawa istnieć. Profesor Kaganow, a od tego momentu Musik, zapytał mnie, skąd znam ten wiersz. Odpowiedziałem, że podyktował mi go Tosza Jakobson. Rozszyfrowując to w obecnych terminach – okazałem się swoim człowiekiem. Jakobson to poeta z kręgu Anny Achmatowej, świetny tłumacz poezji, m.in. Federica Garcii Lorci, dysydent. Przepisałem z Jego notatek m.in. *Requiem* Anny Achmatowej i parę innych Jej wierszy, które tak samo nie znalazły łaski cenzorów, i podobnych wierszy Samojłowa. Wśród wierszy podyktowanych był również wiersz samego Jakobsona, z lekka zalutujący rosyjskim nacjonalizmem. Tosza wkrótce potem wyjechał do Izraela, poczuł się tam źle psychicznie – *po ulicach chodzą same Żydy...*, to Jego słowa – i popełnił samobójstwo. Dodajmy,

że radzieckim obyczajem, przekłady Jakobsona znikły z wydawanych książek natychmiast po wyjeździe. Mam parę tomów przekładów poetów hiszpańskich z Jego udziałem.

W celu ukazania Jakobsona opowiedzmy o autentycznym wydarzeniu. Na widok starego, już w niełasce, Mołotowa zawołał On z drugiej strony moskiewskiego zaułka: *Co porabia twój przyjaciel Ribbentrop?*

Żeby zademonstrować radzieckie obyczaje wydawnicze posłużę się przykładem znakomitego fizyka A.S. (jak Puszkina!) Dawydowa. Wydał On, oprócz innych książek, również *Teorię ciała stałego*. Jest powszechnie znany efekt Azbela–Kanera, pozwalający określić krzywiznę powierzchni Fermiego metali w każdym jej punkcie, jeśli tylko uda się odpowiednio zorientować powierzchnię metalu, z czym mogą być kłopoty. Książka ta nie straciła aktualności po dziś dzień, ale kiedy autor pisze o nazywanym na całym świecie rezonansie Azbela–Kanera to, cytując ich pracę w spisie literatury, pisze *fizycy charkowscy*, nie używając „trefnych” nazwisk. W czym rzecz? W tym, że Azbel, mówiąc językiem radzieckim, „podał”, to jest złożył wniosek o wyjazd do Izraela. W takich wypadkach, poza pewną utratą pracy – „może szpiegować” – grozi „podawcy” śmierć cywilna w ZSRR, no bo skoro chce opuścić przodujący kraj prawie-komunizmu!

Na tym spotkaniu przy piwie z Musikiem postanowiłem ofiarować Dawidowi Samojłowowi tom, będący pierwszym kompletnym zbiorem wierszy Bolesława Leśmiana, moim zdaniem i nie tylko – najwybitniejszego polskiego poety ubiegłego wieku. Tom ten został wydany przez obecnego Profesora Jacka Trznadla w ramach zajęć okołodoktorskich, wykonywanych pod kierunkiem Profesora Artura Sandauera (mam nadzieję, że Profesor Trznadel nie zaprzeczy). Należy dodać, że Samojłow, oprócz skąpo wydawanej własnej twórczości poetyckiej, zajmował się intensywnie działalnością translatorską, w tym poezji polskiej; przełożył m.in. pięć pierwszych *Pieśni Beniowskiego* i wiele wierszy

Norwida, w tym *Fortepian Chopina*. Nie bez satysfakcji oglądałem później tom zawierający przekłady Leśmiana dokonane przez Samojłowa; wrywkowo mogłem stwierdzić ich wysoką klasę, bowiem wiele z tych wierszy znam prawie na pamięć. Tomu „niestety” nie mogłem kupić, mimo niskiej ówczesnej ceny radzieckich wydawnictw: tom był z serii wydawniczej „Biblioteka Literatury Światowej” pt. *Poezja Krajów Europy Socjalistycznej*. Nawiasem mówiąc, w mojej bibliotece jest pełna półka książek wydanych w tej serii, z dobrymi przekładami i starannym aparatem krytycznym. Dodajmy, że zajmowałem się „reeksportem” rosyjskich książek do Rosji. W czym rzecz? Władza radziecka od pewnego momentu była czuła na jej odbiór na Zachodzie. W związku z tym wydawała kogo trzeba dla opinii zachodniej. Z tym, że gros nakładu trafiało do „demoludów”, niekiedy nieznanym tradycyjnie z językiem rosyjskim, np. na Węgry lub do NRD. Można więc było kupić łatwo i taniej (mnożnik ca 0,5 w PRL) książki i przewieźć do Rosji, i albo zyskownie sprzedać, albo podarować przyjaciołom. Ja nie sprzedawałem. Z ciekawszych reeksportów wymienię kilkanaście egzemplarzy Borysa Pasternaka *Wierszy i poematów* (ML 1965, nakład 40 tys. egz.), kilka egzemplarzy (było trudniej dostać) Mariny Cwietajewej *Utworów wybranych* (ML 1965, taki sam nakład). Najlepiej, jeśli mowa o stosunku wydanych do zreeksportowanych książek, wypadłem z tomikiem Cwietajewej *Mój Puszkina*; wywoziłem do ZSRR ponad 2 promille pięciotysięcznego nakładu. Nawiasem mówiąc, zaprzyjaźniony ze mną Lew Pitajewski, patrząc na moją półkę książek rosyjskich, poinformowany o rozmiarach reeksportu, powiedział mi: *Jurek, to jest połowa wołgi*. Chodziło oczywiście o samochód.

I jeszcze jedna scena: książki (diabli by to wzięli) są jednak bardzo ciężkie. We wczesnych latach dziewięćdziesiątych dojeżdżam do Dubny. Moja walizka jest bardzo ciężka (książki). Większość z nich jest przeznaczona dla Musika i Jego przyjaciół. Po-

nieważ nie czeka na mnie auto z Dubny (nowa epoka!), a więc sensowne jest zanieśenie gros ciężaru najpierw do Musika. Jechało się tam z Dworca Białoruskiego metrem do stacji Bielajewo z jedną przesiadką, a później jeden przystanek trolejbusem. Długo nie przychodzi, więc idę piechotą, niosąc moją walizkę. Docieram. Musik podejmuje mnie, przygotowanym wcześniej przez nieobecną Żonę, obiadem i – jak to Słowianie(?) – wznosimy przy pierwszym spotkaniu toasty. Z herkulesowym trudem donoszę do warg kieliszek wódki!

A teraz wróćmy do naszych noblistów. W czasie mojego pierwszego pobytu w ZSRR (1962–1964) nie miałem okazji poznać Aloszy, jeśli skorzystam z obecnej formy zwracania się do A.A. Abrikosova. Poznałem wprawdzie inne ważne osoby ze szkoły L.D. Landau'a – też laureata Nagrody Nobla – twórcy szkoły, do której należy wielu teoretyków, m.in. Abrikosov.

Profesora Abrikosova poznałem bliżej we Wrocławiu na przełomie sierpnia i września 1968 roku. Odbywała się tu wówczas konferencja krajów RWPG poświęcona fizyce i technice niskich temperatur. W jej trakcie z pracownika UW r stałem się pracownikiem PW r. Alosza miał referat o efekcie Kondo (niemonotoniczna zależność oporności od temperatury w metalach domieszkiowanych paramagnetykami), do teorii którego wniósł nader istotny wkład. Ja również wygłaszałem referat. W czasie wolnym udało mi się, w ramach zwyczajowego w takim wypadku zwiedzania Wrocławia, zorganizować zaimprovizowaną wycieczkę do Działu Rękopisów Ossolineum. Obejrzeliśmy tam wtedy rękopisy Mickiewicza, Słowackiego, Norwida. W tej wycieczce wziął udział również Walery Pokrowski – nasz późniejszy gość, oprócz Abrikosova, wspomnianych tu już Sokołowów i Marka Azbela (jeszcze wtedy nie „podał”). Obawiam się, że obecnie zorganizowanie podobnej wycieczki byłoby raczej niemożliwe, i nie świadczy to najlepiej o okresie, w którym żyjemy.

Polska była w tym czasie rajem socjalistycznego kinomana; repertuar filmowy był zdecydowanie najszerszy. Nie mogło więc obejść się bez seansu jakiegoś zachodniego filmu. Sztukę przekładu synchronicznego z polskiego na rosyjski posiadałem już na seansach filmowych w Dubnie. Poszliśmy więc do kina, a później na lampkę wina do mojego mieszkania w „jamniku” przy Kotlarskiej. Koniec epoki Gomułki charakteryzował się niewielką podażą wszystkiego, oprócz c.c.k., czyli *czerwonej czystej kapslowanej*. Nawet tej zabrakło dobre dziesięć lat później! Szczęściem niezłe polskie miody jeszcze Rosjanom smakowały... Dzięki temu, że moja Żona z Synem przebywała nad morzem, mogliśmy się czuć swobodnie w moim M-4, stanowiącym poprzegradzany przeszklonymi drzwiami jeden pokój. W tym czasie znałem już dobrze Abrikosova i z prac, i z legendy. Był On już autorem znakomitej pracy o niciach wirowych w nadprzewodnikach drugiego rodzaju i strukturze ich sieci przestrzennej (1957), co m.in. stało się powodem przyznania Mu Nagrody Nobla. Ze względu na powszechne zainteresowanie tą pracą i badaniami struktur sieci przez doświadczalników Abrikosov był często zapraszany na wykłady za granicę, a ze względu na radzieckie realia – nie wyjeżdżał. W Jego Instytucie Problemów Fizycznych wisiała mapa niezrealizowanych zaproszeń: mapa podróży francuskiego podróżnika Abri i rosyjskiego kupca Kosowa.

We Wrocławiu istniała, niemal od zawsze, skłonność do badań niskotemperaturowych (Trzebiatowski). Szczególnie, z niewielkim opóźnieniem w stosunku do osiągnięć światowych, zaczęto badać strukturę sieci wirowych w nadprzewodnikach drugiego rodzaju. Wykładowcą tej problematyki, dla doświadczalników nią zainteresowanych, na podstawie teorii Abrikosova był Profesor Zygmunt Galasiewicz. Problematyka ta jest kontynuowana w Instytucie Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN i Międzynarodowym Laboratorium Silnych Pól Magnetycznych.

Abrikosov był świetnym turystą. Zwiedził dokładnie, jeśli w ogóle da się to zrobić, ciekawsze miejsca dawnego ZSRR. Brał udział w wyprawie AN ZSRR na Kilimandżaro. Pamiętam zasadę zbierania zielnika, o której opowiadał. Co jakiś czas padała komenda: *zielnik!*, wtedy wszyscy zbierali różniące się od siebie małe roślinki. Małe – ponieważ duże już i tak na pewno odkryli inni. Dzięki tej technice wyprawa odkryła kilkanaście gatunków nowych roślin.

O wspólnych wyczynach alpinistycznych i podróżniczych opowiadał mi w ciągu mojego dubnieńskiego dwulecia (1962–1964) obecny członek RAN Siemion S. Gershtein, blisko związany z L.D. Landauem, w swoim czasie był bowiem mężem Jego ulubionej siostrzenicy. Był On częstym współtowarzyszem wypraw Aloszy. Warto zwrócić uwagę, że turystyka górską, i nie tylko, była wtedy i tam znacznie trudniejsza ze względu na kłopoty z zaopatrzeniem, stąd cięższe plecaki, a także niedorozwój bazy. Sioma, bo tak nazywali Go dobrzy znajomi, opowiadał, że jedna z instrukto-trek alpinizmu, w którejś z baz kaukaskich, nosiła przydomek „zaliczenie dla początkujących”. Coś jednak było na miejscu! Zamknę tę opowieść słowami Aloszy o Siomie: *Kiedy w górach dochodziliśmy do końca etapu i wszyscy walili się z nóg, Sioma szedł i przynosił nam wodę.*

I jeszcze jeden element ówczesnych realiów. Wspomniani tu już dzięki mężowi Pitajewscy zapomnieli o kupnie wędlin przed wyprawą kajakową w okolice Moskwy. Nawiasem mówiąc, w promieniu 200 km od Moskwy jest znakomity układ wodny, laski, górki, tworzące piękny krajobraz. Spróbowali je kupić w miejscowym sklepie i usłyszeli od ekspedientki: kielbasa w ogóle u nas „nie bywajet”. Pewien uczonec z demoludów powiedział mi, że słowo „bywajet” to najbardziej znienawidzone przez niego słowo języka rosyjskiego. Ale, jak śpiewał przy mnie Jurij Wisborg, krótkotrwały redaktor naczelny miesięcznika „Sputnik”, interesującego tylko pod Jego redakcją: *To ja robię rakiety, przegradzam*

Jenisej, a także w dziedzinie baletu jam na czele całej planety (bis).

Żeby rzucić dodatkowe światło na przygodę Pitajewskich, przytoczę zdarzenie naszych polskich przyjaciół Izy i Jurka Sosnowskich (prof., WF UW, emerytowany doc., IBJ). Wracali Oni autem z Dubny do Polski w roku 1965 i zapomnieli, nieszczęśliwi, kupić sobie chleba. Mam nadzieję, że jakąś wałówkę kupili w Dubnie w „Stole zamówień dla cudzoziemców”, miejscu znośnego zaopatrywania się w produkty spożywcze wymienionych cudzoziemców. Sosnowscy zaś, zajeżdżając po drodze do sklepów, chleb kupili dopiero w Polsce. Było to dwa lata po tym, jak N.S. Chruszczow wydał zarządzenie o niepłaceniu za chleb w stołówkach, i że jest to pierwszy krok do komunizmu. W roku 1962 wyświetlano film dokumentalny filmowców NRD-owskich o zwycięstwie rewolucji, czy też raczej rewolty listopadowej, pt. *Cud rosyjski*. Pojawiające się w tym czasie kolejki po chleb, tam gdzie był, nazwano kolejkami na film *Rosyjski cud* – druga seria.

Wróćmy do Abrikosova bezpośrednio. Na początku lat siedemdziesiątych zmienił żonę. I to nie dlatego, że nie czuł z nią wspólnoty psychicznej (częsty motyw rozpraw rozwodowych!). Jak mi opowiadał, w epoce, kiedy Prospekt Leninowski dopiero obrastał budynkami instytutów Akademii i był tam nieomalże tylko FIAN (Instytut Fizyczny AN) i NIIHUIAH (Naučno Issledovatel'skij Institut Chimičeskich Udobrenij i Jadochimikatov), spacerował z narzeczoną po zabudowującym się prospekcie. Trafili do przypadkowo niestrzeżonego budynku VASHNiL (Wszechzwiązkowa Akademia Nauk Rolniczych i Leśnych). Przewiesili tam wizytówkę wiceprezesa VASHNiL (akademika, którego nazwisko litościwie pominię) z drzwi jego gabinetu na drzwi ubikacji. Zrobiła się potworna awantura, a wykrycie sprawców groziło im, co najmniej, wyrzuceniem poza nawias życia naukowego. Nawiasem mówiąc, akademika tego złapano na pobieraniu podwójnych delegacji służbowych na wyjazdy „naukowe”.

Ostatni cudzysłów wymaga wyjaśnienia, przynajmniej dla młodszego pokolenia. Do śmierci Stalina (1953 r.) w obozie pokoju i socjalizmu obowiązywała biologia miczurinowsko-łysenkowska. Jej przeciwnicy albo milczeli, albo też (w ZSRR) zostali wręcz zamęczeni, np. wielki genetyk N.S. Wawilow. Obowiązywała zasada całkowitego odrzucenia mutacji jako mechanizmu ewolucji i przyjęcia mechanizmu dziedziczenia cech nabytych. Nie skutkowały żarty, np.: *Jeśliby mężczyźnie odciąć rękę, jego synowi odciąć rękę itd., to czy w końcu urodzi się chłopiec bez ręki?* Łysenko odpowiadał twierdząco, wobec czego padało pytanie: *to dlaczego rodzą się dziewczęta?* Notabene rodzenie się żydowskich chłopców z napletkiem dałoby się wyjaśnić powszechną niewiernością małżeńską Żydówek: wdzięczny, ale i wielce trudny temat dla antysemitów! U Chamforta garbaty książę, patrząc na rosnącego lokaja, powiedział: *To skandal! Jak my starannie obrabiamy tych łajdaków lokai, a jak oni nas?!*

Nikita S. Chruszczow był jeszcze zwolennikiem Łysenki. Fizycy – przynajmniej z dobrych Instytutów Akademii – zdecydowanymi przeciwnikami. Na potrzeby listopadowej defilady z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej w instytutowym rejonie Prospektu Leninowskiego pojawiły się, malowane farbą plakatową na płótnie, portrety wybitnych uczonych, m.in. portret Łysenki. Pozostali wybitni ostro zaprotestowali, w rezultacie czego portret zniknął. Po upadku Chruszczowa (jesień 1964 r.) okazało się, że podwyższona zawartość tłuszczów w mleku krów hodowanych przez Łysenkę, która, oczywiście, miała być przekazana potomstwu, była wynikiem karmienia ich odpadkami z fabryki czekolady „Krasnyj Oktiabr”, skądinąd należącej przed rewolucją do rodziny Abrikosowów. I jeszcze – widziałem Łysenkę na własne oczy latem 1977 roku. Było to w stołowie AN ZSRR, na której oszklonych drzwiach widniał jedynie napis „warsztat za rogiem”. Wprowadził mnie tam Musik. W trakcie obiadu usłyszałem od niego, że dwa stoły za nami siedzi Łysenko. Nieśmiało obejrzałem

się przez ramię. Usłyszałem wtedy: *Patrz, ile chcesz, on już przywykł.*

W końcu tego roku wyjechałem do kilku uniwersytetów amerykańskich na rekonesans, dotyczący możliwości nawiązania współpracy w dziedzinie fizyki (mój przypadek!). Pojechało nas trzech. W pewien wieczór rozdzielono nas na różne „parties”. Przez godzinę, trzymając w ręku whisky and soda, które wtedy lubiłem bardziej niż teraz, udzielałem szczerych odpowiedzi, aż wreszcie, zmęczony, powiedziałem: *Patrzcie, nie dopilem jeszcze mojej pierwszej whisky!* Wtedy dano mi względny spokój i wówczas przy jakiejś okazji powiedziałem, że widziałem Łysenkę, w odpowiedzi usłyszałem, że on parę dni temu umarł i pokazano mi numer New York Times’a z wiadomością o tym. Nasza wizyta zaowocowała, głównie, wysłaniem do USA wielu doktorantów; najlepsi z nich tam zostali. Jest to część haraczu, które kraje mniej rozwinięte płacą krajom rozwiniętym bardziej.

Spotkanie, o którym mowa, odbyło się w domu Profesora Bernarda Kerna, fizyka o specjalności zgodnej z nazwiskiem, w Lexington, Kentucky.

Na początku lat siedemdziesiątych Abrikosov, po rozwodzie z poprzednią żoną, ożenił się z obywatelką Francji – pół Wietnamką-pół Francuzką. Nowa żona przyjechała do Niego do Moskwy. Czekala ją gehenna, nie tyle może mieszkania w podnajętym lokalu, ile okresowego meldowania się w OWiR (Oddział Wiz i Rejestracji) co parę miesięcy, aby przedłużyć sobie pobyt. Niechętny podwójnie egzotycznej „Francuzicy” wszechwładny urzędnik radziecki potrafił naprawdę zatruć życie!

Mam podobne, o parę lat wcześniejsze, przeżycia z polsko-radziecką, przyjazną sobie, biurokracją. Żona nie mogła, obyczajem tamtych lat, wyjechać razem ze mną, dojechała do mnie w listopadzie 1962 roku. Na początku czerwca 1963 roku urodził się mój syn. Jak wtedy należało, miała paszport o rocznej ważno-

ści (mój – służbowy – miał łaskawie ważność dwukrotnie dłuższą). Niedługo po urodzeniu się syna zacząłem się starać o przedłużenie paszportu Żony, w tym również i Syna, i złożyłem stosowne dokumenty w Ambasadzie PRL w Moskwie. Czas mijał, a przedłużenie nie nadchodziło. Zniecierpliwiony, zadzwoniłem do Dyrektora Biura Współpracy Zagranicznej Pełnomocnika Rządu ds. Wykorzystania Energii Jądrowej, mgr. Gustawa Pładra, pytając Go, co mam zrobić. W odpowiedzi usłyszałem, że Żona z paromiesięcznym Synem powinna wyjechać do PRL na około 30 dni, uzyskać przedłużenie paszportu i wrócić! Nie znałem ówczesnego statusu rodzinnego wymienionego przeze mnie Dyrektora, był jednak starszy ode mnie. W rezultacie rozległy się moje inwektywy pod Jego adresem, nie zahaczające jednak ani o terminologię wydalniczą, ani płciową, ani też prowadzenie się żeńskiej części rodziny. Nie znając ówczesnych procedur urzędowych, nie jestem w stanie powiedzieć, jak załatwiono przedłużenie paszportu bez konieczności wyjazdu do kraju, i nie mogę powiedzieć, że moje inwektywy odniosły skutek. Tyle, że część mojej rodziny spędziła aż dwa miesiące nielegalnie w tym przodującym kraju. W związku z tym zostałem wezwany na milicję i ukarany, do wyboru albo pięciorublową grzywną (ca 5 \$ – podobno), albo też tygodniowym aresztem. Drugie rozwiązanie kusilo mnie wyraźnie, ale to, że byłem wtedy starostą grupy polskiej w Dubnie i chęć nieskrępowanej pracy, spowodowały, że wybrałem rozwiązanie pierwsze.

Uwaga – ciągle tej samej – Żony, przepisującej tekst: *Prawdopodobnie szczęśliwe rozwiązanie było wynikiem postawy rosyjskiego urzędnika od tych spraw w Dubnie. Byłam wezwana przed jego oblicze i usłyszałam, że mogę być nawet aresztowana, ale wyraźnie wyczuwałam w jego tonie, że sytuacja również jemu wydaje się surrealistyczna. Mogłam więc sobie pozwolić na odpowiedź, że jestem gotowa dać się uwięzić, byle z dzieckiem. Ponieważ strona radziecka nie nalegała na moje*

usunięcie, więc i polscy urzędnicy znaleźli jakieś wyjście. Słyszałam kilkakrotnie, że w prostych, niepolitycznych sprawach urzędnicy rosyjscy byli bardziej ludzcy od polskich. Może dlatego, że dłużej działali w tym systemie? Dobrze to oddaje znane rosyjskie powiedzenie: „Rossija eto strana strozajszich zakonow, smiagczajuszczichsja połnym niesobludienijem onych”. Podaję je w oryginalnej, archaicznej wersji, co w tłumaczeniu znaczy: „Rosja to kraj najsurowszych praw, które są łagodzone przez całkowite ich niestosowanie”.

Ani Abrikosova nie czuła się w ZSRR najlepiej, ze względu na mieszkanie, początkowo nieurządzone przez siebie, OWiR i niektóre sytuacje towarzyskie. W końcu przyszła na miejsce dobrze znanej wszystkim osoby, a i urodę miała w Rosji nietypową. Nie cieszyła się więc zbyt wielką sympatią. Pobyt Abrikosova na Szkole Fizyki Teoretycznej (SFT) w Karpaczu (1973) był – w pewnym sensie – festiwalem i Aloszy, i Ani. On wygłosił znakomite lekcje o efekcie Kondo, a Ona była towarzysko rozrywana. Jeśli mowa o SFT, to poza czterogodzinnymi – z reguły – wykładami, pokolacyjnymi – z reguły – seminariami, były tam również „tańce, hulanki, swawole”. Wbrew surowym moralistom nie był to bynajmniej czas zmarnowany. Surowy moralista przypomina bowiem tego melameda, który stwierdził, że gdyby był Rotschildem, to byłby bogatszy od niego – bo dawałby jeszcze na boku lekcje religii... Synem Ani i Aloszy – Miszą – w trakcie Ich albo Jej nieobecności opiekowała się młodsza siostra Aloszy, żona znakomitego moskiewskiego ginekologa. Misza chodził także do przedszkola. Jego tameczne wychowawczynie oskarżały Go o religianctwo, ponieważ za ciotką używał wołacza *gospodi*. Powiedziałem, że dziecko godne jest tylko pochwały, ponieważ używa szcątkowej w języku rosyjskim formy wołacza (*zwatielnyj padież*). Znane są tylko trzy przypadki: *gospodi*, *boże*, *panie* – ostatni casus chyba tylko u Gogola; prawdopodobnie wpływ pogranicza. Siedzący obok szwagier ginekolog zareplikował: *Ja*

nie znaju czto takoję zwatielnyj padież, ja znaju, czto takoję datielnyj padioż. Zauważmy, że *datielnyj* to również celownik – dativus, a *padioż* – to również upadek.

Przed parodniowym świętem rewolucji w 1975 roku Alosza zapytał mnie, czy może przyjechać z żoną na ten czas. Zaprosiłem ich do nas: dwa dość duże pokoje oraz baza łóżek i tapczanów pozwalała na w miarę wygodny parodniowy wspólny pobyt. Tu wyjaśnienie. Ani, jako obywatelka Francji niewydelegowana do ZIBJ, nie miała w ogóle prawa przebywać w Dubnie! Nie ukrywaliśmy Jej jednak i, korzystając z ładnej pogody, dużo spacerowaliśmy.

Cudzoziemiec zameldowany w Moskwie mógł oddalać się od niej tylko o 50 kilometrów; my „dubnieńczycy” mogliśmy przebywać w Moskwie i w podobnym promieniu wokół Dubny. Warto podać związany z tym inny interesujący epizod z roku 1963. Rzecz dotyczy wybitnego fizyka-teoretyka, doktora honoris causa UWr i wielu innych uniwersytetów, akademika Nikołaja N. Bogolubowa, który był wówczas dyrektorem Pracowni Teoretycznej (ŁTF) ZIBJ. Zjawił się On pewnego dnia w Pracowni i wziął udział w nieformalnym posiedzeniu Klubu Kawowego, w którym spotykano się w każdy dzień roboczy, pito kawę, dyskutowano, nie tylko na tematy naukowe, i zasięgano języka. Jednym słowem taka mikroagora. Tego dnia Bogolubow jął wspominać swój pierwszy powojenny wyjazd, w roku 1958, do Szwajcarii, na konferencję poświęconą pokojowemu wykorzystaniu energii jądrowej. Opowiadał barwnie, a był świetnym narratorem, jak to nielegalnie, wzięty do auta przez fizyka zachodnioeuropejskiego, udał się, wraz z innym świetnym teoretykiem bułgarskim Iwanem Todorowem, do Włoch bez wizy włoskiej. Po prostu wykorzystano wzmożony ruch weekendowy i wynikającą stąd niemożność sprawdzenia przez służby graniczne wszystkich aut. W pewnym momencie wtrąciłem: *To bardzo podobne do przypadku moich polskich przyjaciół, którzy pojechali do Kimr bez*

zezwoleń milicji. Zaległa cisza. Ale kiedy opowiadałem tę anegdotę znającym dubnieńską rzeczywistość cudzoziemcom – zawsze wybuchają śmiechem. Kimry to miasteczko, w którym w opisywanym czasie nie było nic ciekawego, a odwiedzane było, szczególnie przez Polaków, aby łamać surrealistyczny zakaz. Kimry położone są na drugim brzegu Wołgi, blisko Dubny w linii prostej, ale przez tamę, oddzielającą Morze Moskiewskie od Wołgi, bardziej odległe niż dozwolony nam promień penetracji. Ma jednak swoją ciekawą historię. W Kimrach mogli się już osiedlać ludzie administracyjnie wysiedleni z Moskwy; notabene za caratu tzw. linia osiadłości obowiązywała tylko Żydów. Zwróćmy uwagę na postępy egalitaryzacji. Opowiadano mi, że dzięki wysiedlonym z Moskwy artystom teatr w Kimrach był w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych bardziej interesujący od teatrów moskiewskich.

U Abrikosowów poznaliśmy między innymi Sergiusza Kapicę – syna Piotra – znakomitego popularyzatora nauki (TV), Jurija Kagana – członka AN, świetnego teoretyka ciała stałego i Jego Żonę – tłumaczkę literatur słowiańskich, żeby wymienić tych, którzy najbardziej wryli mi się w pamięć.

Alosza, oprócz pobytu na Szkole FT w Karpaczu, przyjechał do Polski na przełomie sierpnia i września 1979 roku jeszcze na miesiąc. Miał u nas cykl wykładów na temat – w wielkim stopniu – „polskiego” półprzewodnika $\text{CdMn}_x\text{Te}_{1-x}$, przy tym składzie $x < 1$, kiedy półprzewodnik przechodzi w metal. Ponieważ elektrostatyczne oddziaływanie Coulomba pomiędzy elektronami jest, ze względu na równość, co do rzędu wielkości, oddziaływaniem elektron–jon, ze względu na analogiczną równość średnich odległości międzycząstkowych, powstaje więc pytanie, dlaczego to pierwsze jest w teorii metali, przynajmniej dla wielu efektów, całkowicie pomijane?

Odpowiedzi, której podstawy znalazł L.D. Landau, i co rozwinęli Jego uczniowie, należy szukać w szerokiej powierzchni Fer-

miego, rozdzielającej stany zajęte przez elektrony od stanów niezajętych. Stąd łatwa polaryzowalność gazu elektronowego, prowadząca do ekranowania, osłabiającego oddziaływanie międzyelektronowe w „zwykłych” metalach. Jednak, przy stykaniu się pasm, podstawowego i przewodnictwa, tylko w niektórych punktach przestrzeni kwazipędów gaz elektronowy nie polaryzuje się łatwo, bo może to robić tylko w punktach styczności pasm, i oddziaływanie nie osłabia się w sposób istotny.

Abrikosov rozpracował metodykę stosowną dla takich układów. Niestety, ich obserwacja wymaga, aby kryształ mieszany był jednocześnie jednorodny i – z drugiej strony – dostatecznie chaotyczny, a więc, aby domieszki były rozmieszczone dostatecznie jednorodnie, ale, z drugiej strony, nie tworzyły superstruktury. Mówiłem tu o „polskim” półprzewodniku, ponieważ był on wytwarzany i badany zarówno w IF PAN, jak i w IF PWr. I że pierwsza z wymienionych organizacji była – jak to się kiedyś mówiło – „wiodącą”. Nie tylko względem drugiej.

Dłuższy pobyt Profesora Aleksieja Abrikosova u nas, w roku 1979, zaczął się pod moją nieobecność. Ze względu na dużą swoją aktywność (m.in. Kilimandżaro) trochę dał się we znaki osobom, które Mu towarzyszyły w Warszawie. Osoba wówczas odpowiedzialna za Jego wizytę trochę mi się żaliła na związane z tym kłopoty. Odpowiedziałem, z zastosowaniem metody grzeczności chińskiej: *My tu we Wrocławiu jesteśmy skromniejsi i chętnie poświęcamy swój czas dla fizyka, którego by u nas szukać ze świecą*. W Instytucie Fizyki PWr na tym polu, oprócz mnie, działali ówcześni doktorzy: Ryszard Gonczarek, Lucjan Jacak i Adam Kołodziejczak.

Tym razem Ani nie towarzyszyła Aloszy; małżeństwo wkrótce się rozpadło. Ani i syn Michel przebywają we Francji. Zgodnie z tym, co powiedział Alosza, i z czym się zgadzam, dłuższe przebywanie w ZSRR w charakterze untermenscha wymagałoby olbrzymiego samozaparcia.

Znakomity uczony, Nikołaj N. Bogolubow (notabene doktor honoris causa UWr) trafił tu, wyłącznie niemal jak Piłat do Credo. Był On długoletnim wiceprzewodniczącym AN ZSRR oraz dyrektorem LTF ZIBJ w Dubnie, a następnie dyrektorem Instytutu. Profesor Zygmunt Galasiewicz realizował niektóre zlecone przez niego tematy z zakresu nadprzewodnictwa i nadciekłości, związane głównie z hydrodynamiką takich układów. Ja również miałem przyjemność konsultować z Profesorem Bogolubowem niektóre ze swoich problemów, związane z nadciekłym układem fermionów. Nikołaj N. Bogolubow obejmował swoim doświadczeniem badawczym bardzo szeroki zakres zagadnień – od metod asymptotycznych w teorii układów równań różniczkowych, przez teorię macierzy rozproszeń w kwantowej teorii pola, relacje dyspersyjne dla amplitud rozpraszania w tym wypadku. Dotychczas mówiliśmy tylko o teorii cząstek elementarnych. Równie szeroki obszar tematów dotyczył nierelatywistycznej teorii układów wielu ciał, zwłaszcza nadprzewodnictwa i nadciekłości, mikroskopowego uzasadnienia równań hydrodynamiki. Dodajmy również Jego wybitny wkład w rozwój metod obliczeniowych w teorii wielu ciał: rozwój metod dla równań na funkcje Greena.

O prawdopodobnej Nagrodzie Nobla dla Bogolubowa mówiono dość powszechnie. „Pomawianego” obowiązywał specyficzny modus operandi, polegający na pewnej powściągliwości wypowiedzi politycznych, co związane było z nieudzielaniem odpowiedzi na pytania dziennikarzy. Nie dało się tego zrobić przez nieudzielenie odpowiedzi na pytanie, które już padło! Dlatego w pewnych momentach potencjalni kandydaci stawali się niedostępni dla dziennikarzy. Pewien wariant reakcji na propozycję potępienia jakiegoś tekstu, bo o nie głównie chodziło, opracował późniejszy laureat Nagrody Nobla Piotr Kapica. Do proponującego mu podpis pod protestem „dziennikarza” mówił: *Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to jest to straszne. Proszę mi przesłać ten paskudny tekst, zapoznam się z nim, i po dwóch tygodniach (mam w końcu inne*

zajęcia!) może przyłączyć się do protestu. Ponieważ podpis był potrzebny „na wczoraj”, sprawa więc upadła sama przez się.

Taktyka unikania dziennikarzy, w cudzysłowie i bez, zawiodła Bogolubowa po przyznaniu literackiej Nagrody Nobla Solżenicynowi. Prezes Akademii Kiędysz, świetny matematyk, otrzymał polecenie z KC KPZR, aby potępić ten fakt. Podobno użył wobec wiceprezesów słów: *Nie mnie odnomu raschliobywat' eto dier'mo* – co w jakimś stopniu odpowiada: *Nie mogę sam zajadać tego łajna*. Bogolubow, powodowany poczuciem solidarności, podpisał protest. I, tym samym, przestał być liczącym się kandydatem do Nagrody Nobla.

Profesor Henryk Konwent, z którym rozmawiałem na ten temat, podał mi inne możliwe przyczyny tego faktu. Profesor Konwent był zaangażowany w tłumaczenie rosyjskich tekstów naukowych Bogolubowa na język francuski przed Jego wizytą we Francji w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. Wizyta ta miała zapewnić m.in. szerszą prezentację dorobku Bogolubowa, w celu pronoblowskiej orientacji na Jego korzyść uczonych francuskich. Niestety, wkrótce potem nastąpiła inwazja wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, niwecząc poczynione starania.

W czasie konferencji Bogolubowowskiej, poświęconej problemom fizyki teoretycznej i matematycznej (Dubna–Kijów 1999) poznałem jeszcze jeden interesujący szczegół biografii N.N. – jak go współpracownicy powszechnie nazywali. Jego ojciec, profesor Akademii Duchownej w Kijowie i kapłan prawosławny, został, dzięki osiągnięciom naukowym syna, wyciągnięty z łagru w okresie przedwojennym.

Przejdźmy do drugiego, historycznie pierwszego, z naszych noblowskich gości – Anthony'ego J. Leggetta. Przebywał On, tradycyjnie, najpierw na Szkole Fizyki Teoretycznej w Karpaczu, a dopiero później u nas. Był już wtedy autorem istotnej, choć niezwykle skomplikowanej pracy, w której uzyskano poprawkę,

związaną z oddziaływaniem do głębokości penetracji w nadprzewodnikach. Istota sprowadzała się do uwzględnienia wpływu oddziaływania cząstek, poza oddziaływaniem wiążącym w pary – „parującym”, na reakcję elektromagnetyczną układu. Formalizm, opracowany przez Leggetta, sprowadzał się do rozpatrzenia układu czterech równań liniowych. Każdemu teoretykowi wiadomo, że układ taki da się przedyskutować tylko cudem, w poszczególnych przypadkach. Stąd, znane mi są prace cytujące pracę Leggetta, choć zupełnie nieznane prace, kontynuujące tę tematykę.

Ja, nieco później, stosowałem do podobnych zagadnień metodę opracowaną przez, znanych mi osobiście, A.I. Łarkina i A.B. Migdała, która, wcześniej od pracy Leggetta, upraszczała ten formalizm. Zarówno praca Leggetta, jak praca Łarkina i Migdała (1963) dotyczyły układu z parami S. Mnie udało się nie tyle uogólnić, co przenieść ten formalizm na układ z parami P. Z tym, że – w odróżnieniu od pracy Leggetta – dotyczyło to tylko temperatury zerowej.

Moja aktywność, jak już powiedziałem, związana była z nadprzewodnikami. Kiedy okazało się, że pary P w dotychczas poznanych nadprzewodnikach nie występują, miałem „drobny” – co najmniej – kryzys, którego nie leczy obecne *a nie mówilem?* W czasie mojego dubnieńskiego pobytu (1975) zaczęły do mnie docierać wieści, że jedna z faz nadciekłego ^3He jest, najprawdopodobniej, stanem BW (Baliana–Werthamera). Zacząłem więc, w drugiej części pobytu, intensywnie działać na tym polu. Zainteresowały mnie zwłaszcza fale spinowe w takim układzie, tym bardziej że mój ówczesny rezultat, że ich nie ma, okazał się błędny. Uzyskałem, ścisły w przybliżeniu akustycznym, kiedy zarówno częstość pola zewnętrznego, jak i jego wektor falowy są odpowiednio małe, rezultat dla energii wzbudzeń, wyrażający się przez skończoną liczbę tzw. parametrów Landau'a opisujących oddziaływanie kwazicząstek na powierzchni Fermiego. Numerowane one są przez współczynniki przy wielomianach Legendre'a kosinusa kąta pomiędzy pędami kwazicząstek. To dopiero dało

powód do prac na ten temat, tym bardziej że nie było jasne, że metodyka Łarkina i Migdała (i Leggetta) jest równoważna ze stosowaną również metodą odpowiednio uproszczonych równań ruchu. Równoważność ta została wykazana przez (obecnie) prof. Lucjana Jacaka (1975) i dr. hab. Ryszarda Gonczarka, prof. PWr. Leggett przybył do IF PWr w roku 1976, w okresie Jego niezwykle aktywnej działalności dotyczącej identyfikacji faz nadciekłego 3-He. Było to po dłuższym pobycie w Japonii, skąd przywiózł żonę. Odwożąc Go pierwszy raz do hotelu moim autem, zapytałem: *Wiadomo, że są cztery rzeczy najlepsze na świecie – japońskie żony, angielskie mieszkania, amerykańskie zarobki i chińska kuchnia i cztery najgorsze – japońskie mieszkania, angielska kuchnia, amerykańskie żony i chińskie zarobki. Ty masz w tej skali dwa plusy – ale co z kuchnią?* Odpowiedział mi: *Żona czasami gotuje.*

W następnym roku byłem zaproszony przez Leggetta do Uniwersytetu Sussex w Falmer Brighton. Poznałem tam Jego japońską Żonę i stwierdziłem, że dom nieco odbiega od dowcipowego ideału. W tym czasie przebywał tam już mój doktorant, Marek S. Wartak, współpracujący z Leggettem, który człowieka do współpracy, odpowiednio wyedukowanego, właśnie potrzebował. Marek w trakcie pobytu w Brighton wrócił do Wrocławia na obronę pracy (1977), poświęconej elektronowej teorii metali, temat której sformułowałem; jest On obecnie profesorem w Kanadzie.

Podczas swojego pobytu we Wrocławiu Tony wykladał zasadnicze idee swojego referatu przeglądowego w Review of Modern Physics, 47 (1975), stanowiących szkic i wstęp do wyników, które legły u podstaw przyznania mu Nagrody Nobla. Warto podkreślić, że w pracach Łarkina i Migdała, samego Leggetta i moich, stanowiących podstawę teorii układów ze słabym oddziaływaniem panującym, ale silnym oddziaływaniem w kanale cząstka–dziura, w przybliżeniu liniowym względem zaburzenia zewnętrznego, spinowe i orbitalne stopnie swobody są kompletnie rozdzielone.

Można wtedy na przykład wykazać, że częstość rezonansu paramagnetycznego odpowiada dokładnie, w jednostkach stałej Plancka, podwojonemu iloczynowi pola i momentu magnetycznego 3-He. Na dodatek, rezonans następuje przy polu oscylującym, skierowanym prostopadle do statycznego. W dwóch fazach nadciekłych 3-He rezonans następuje i przy polu poprzecznym i podłużnym, a częstość rezonansu poprzecznego nie odpowiada podanej wyżej częstości. W czym tkwi przyczyna? Leggett wykazał, że jest to relatywistyczne oddziaływanie spin–spin. Można je zapisać w postaci dobrze znanej z elektrodynamiki klasycznej. Sprzęga ona spinowe stopnie swobody z orbitalnymi i powoduje, że w obecności sparowania występują niezwykle efekty rezonansowe. Co więcej, teoria dobrze się zgadza z doświadczeniem. Wyjaśnienie tych spraw i opis całej serii doświadczeń rezonansowych jest, w głównej mierze, zasługą Leggetta.

W trakcie pobytu Leggetta udało się nam wyjaśnić jedną kontrowersję – kwestię podatności spinowej w fazie B 3-He. Leggett w swojej pracy, działając po trosze per analogiam, stwierdził, że do podatności spinowej stanu BW wchodzi tylko parametr Landau'a z $l = 0$. Mnie „wychodziło”, że musi tam również wejść parametr z $l = 2$, z tym że za wynikiem tym stał rozwinięty formalizm. Udało mi się przekonać Tony'ego, że to ja mam rację.

We wspomnianym już artykule przeglądowym, zawierającym pokazaną część noblowskich rezultatów, podziękowano i mnie, i Marysi i Jurkowi Stęlickim za uczynienie pobytu w PWr „so enjoyable”. U nas ten artykuł był doprowadzony do końca. Państwo Stęlickicy (Marysia, niestety, nie doczekała nagrody Tony'ego – paru miesięcy zabrakło!) byli dodatkowo, oprócz nas (mówię tu o mojej Żonie) animatorami życia towarzyskiego i (nie my!) również turystycznego, co bardzo interesowało Tony'ego. O warunkach i trudnościach życia towarzyskiego w socjalizmie jeszcze napiszę.

Marysia Stęlicka, wtedy doktor habilitowany, później profesor, została również zaproszona do University of Sussex. Specjali-

zowała się Ona, jeśli mówić o oczywistościach dla wielu, w teorii elektronowych własności powierzchni. Osiągnęła w tej dziedzinie znaczące rezultaty i wychowała wielu uczniów, z których niektórzy są już dzisiaj profesorami.

Po pobycie Leggetta we Wrocławiu najsensowniejszą dla mnie – jako uczonego – polityką byłoby zajęcie się czystą nauką, w oderwaniu od zajęć administracyjnych. Niestety, może nieformalnie, ale podpisałem cyrograf! W związku z tym przypomina mi się dyskusja z Tonym na temat wspomnianej już podatności spinowej 3-He B, toczone w trakcie składania przeze mnie podpisów, zazwyczaj dwóch, dość rzadko trzech (własna grupa) na rachunkach dla ponad dwustu pracowników, doktorantów, i nie tylko, korzystających z dobrodziejstwa prac zleconych. Notabene, w jednej, co rzadko, znakomitej komedii radzieckiej tego okresu (studium w Odessie) pada wielokrotnie najstraszliwsze przekleństwo: *Obyś żył z gołej pensji!*

Spotykałem później Tony'ego dość często bądź na konferencjach poświęconych 3-He (Ithaca, N.Y.), bądź też na konferencji fizyki niskich temperatur w Los Angeles (1981) czy Karlsruhe (1978). Z problematyki nadciekłej cieczy Fermiego zostało sformułowanych parę tematów prac doktorskich, które podjęli obecni profesorowie Lucjan Jacak i Ryszard Gonczarek.

Podobną tematyką zajmował się również Wojciech Wojtanowski, który obronił się – dosłownie – w przeddzień wprowadzenia stanu wojennego. Doktor Wojtanowski, pracownik WSP (wtedy!) w Opolu zdobył stypendium Humboldta i zużył je na staż u Profesora Petera Wolfego, znanego teoretyka nadciekłości.

Tradycyjna, z tej okazji, „lampka wina” składała się z przydzielonych wędlin, z trudem zdobytych serów, odjętej sobie – a może i potrzebnym rodzinie „złotym rączkom” – wódki i dobrego opolskiego, pozakartkowego salcesonu. Miałem coś do załatwienia w IFT Uniwersytetu, po obronie i spotkaniu towarzyskim. Po załatwieniu wstąpiłem na egzotyczny wtedy napój – piwo do obecnego

lokalu „U Szwejka”. Jeden z towarzyszy zawiadomił mnie, że przebywający w Moskwie Stefan Bratkowski został przyjęty przez Leonida Breżniewa jako przyszły premier rządu PRL. Mimo wszystko nie śmiałem poddać tej wiadomości w wątpliwość.

I wreszcie – co w PRL było warunkiem sine qua non przy organizowaniu imprez międzynarodowych – kontakty z władzami bezpieczeństwa. Po raz pierwszy zetknąłem się z ludźmi z tej miłej instytucji w roku 1966, kiedy to organizowałem Szkołę Fizyki Teoretycznej UW. Podpisałem dokument, jako że moja świadomość prawna nie była wtedy zbyt rozwinięta, że nic o tym spotkaniu nikomu nie powiem, a zwłaszcza, co najważniejsze, Żonie. Nic złego nie powiedziałem „władzy” ani o krajowych, ani o zagranicznych uczestnikach Szkoły. Nie wiem czemu owi panowie zagustowali w spotkaniach ze mną. I zaczęli wypytywać o poniektóre osoby. Powstał wtedy paskudny dylemat: czy odmawiać odpowiedzi, ale to będzie oznaczać, że można tę osobę o coś podejrzewać, czy też mówić, ale nie powiedzieć nic złego? Wybrałem, do czasu, drugie rozwiązanie. Czasami pozwalałem sobie na żarty, których „oni” nie mogli ocenić jako żarty. Na przykład o jednym z naszych kolegów, wybitnym działaczu partyjnym na szczeblu uczelnianym (UWr), który wyjechał do USA – i zachwyił się. Swoje zachwyty przelewał na papier i wysyłał do przyjaciół, m.in. z KW PZPR. Był On zdolnym naukowcem, ale – jak mi się wydaje – zbyt mało samokrytycznym. Nie mógł więc pogodzić się z faktem, że pewna podjęta praca jest niezbyt udana i że nie należy jej publikować, w związku z tym, przez cały półtoraroczny pobyt w USA, publikował wyłącznie w „Acta Physica Polonica”.

Na pytanie mojego „maitre'a”, czy publikacja prac uczonych polskich w czasopiśmie zagranicznych nie szkodzi nauce polskiej, odpowiedziałem, że nie szkodzi, a nawet pomaga, jeśli w publikacjach *tam* powołujemy się na publikacje krajowe. Są to jednak przykłady wzruszającego patriotyzmu. Profesor – i tu pa-

dło nazwisko wyżej wymienionego – był przez 18 miesięcy w USA i w tym czasie publikował wyłącznie w „Acta Physica Polonica”.

I tu znowu pozwolę sobie na przeskok czasowy. W roku 1979 na lampce wina po inauguracji roku akademickiego zapoznano mnie (w uprzednie vice versa nie wątpilem!) z oficjalnym opiekunem PWR ze strony SB. Opowiedziałem mu cały powyższy dialog, łącznie z komentarzem. Usłyszałem w odpowiedzi: *Ach, sprawy publikacji zagranicznych wtedy nas interesowały...* Dodajmy, że wymieniony podówczas kolega był już wtedy emigrantem. Jak widać, władza tolerowała niegdysiejsze żarty z siebie...

Warto wspomnieć również o końcu mojej „współpracy” z SB (1968). Już po mojej habilitacji odwiedził mnie po raz pierwszy w domu (uziemiała mnie angina pięcioletniego syna, ale teoretyk jest w tych warunkach w luksusowej sytuacji) przełożony mojego stałego kontaktu w stopniu kapitana. Chciał wypytać mnie o szczegóły słynnej marcowej Rady Wydziału Mat-Fiz-Chem UW. Odmówiłem informacji i rozstaliśmy się błyskawicznie. Szczegóły posiedzenia RW były jednak wkrótce dobrze znane tym władzom. Dodam, że byłem jednostronnym nadajnikiem informacji do moich kolegów o zainteresowaniach SB, mimo moich solennych pisemnych zobowiązań. Żadnych elementów sprzężenia zwrotnego nie zaobserwowałem.

Jest takie przysłowie rosyjskie: *Kurica nie ptica – Pol'sza nie zagranica*. Niezależnie od tego, kraj nasz był dla Rosjan interesujący. W związku z tym było mile widziane również zaproszenie żony zaproszonego fizyka. Ze względu na deklarowane wysokie standardy moralne służb paszportowych ZSRR – kobiety raczej nie powinien był zapraszać mężczyzna, Boże ucho! W takim razie należało skorzystać z uprzejmości Żony. W wypadku wyznań dla SB było to niebezpieczeństwo, a tu jej posiadanie prowadziło do udogodnień! Moja Żona zaprosiła, co wymagało poświadczenia w Wojewódzkiej Komendzie Milicji, panie Kaganową, Andrejewą, Pataszyńską, Pitajewską i Pokrowską. Na

Żonie też, głównie, spoczywał obowiązek przyjmowania gości, a raczej konieczność zapewnienia smacznego jedzenia na tę okoliczność. Nie wspominał o trunkach, jako że należy to do tradycyjnych obowiązków męskich. Mimo że socjalizm to permanentny okres przejściowych trudności, udało się mojej Żonie karmić raczej smacznie naszych gości i nie otruć ich. Dotyczy to również przyjęć, indukowanych przez zapraszanych na moje przyjęcia polskich gości. Dodam, że służyłem również przekładem synchronicznym na język rosyjski. Oprócz mnie czyniło to jeszcze kilka osób, m.in. Profesor Tadeusz Paszkiewicz (wtedy UWr). Starłem się również o udział w innych imprezach kulturalnych, a więc muzea i – jeśli okółowakacyjny okres na to pozwalał – również teatry, m.in. Teatr-Laboratorium, a także koncerty „Vratislavia Cantans”. Nawet wrocławscy działacze partyjni żalili się, że na festiwalu za dużo jest muzyki religijnej, a w Moskwie – mającej mniej, w stosunku do liczby mieszkańców, miejsc w salach koncertowych – taki koncert był nie do upolowania.

Warto poświęcić nieco miejsca laureatowi Nagrody Nobla – Piotrowi Kapicy, mimo że nie był On związany z Politechniką Wrocławską, a z którym miałem przyjemność, w towarzystwie Profesora M.I. Kaganowa, odbyć prywatną rozmowę. Był On już wtedy laureatem Nagrody Nobla, którą podzielił po połowie z Arno A. Penziasem i Robertem W. Wilsonem, a ponadto doktorem honoris causa UW. Ponieważ zapraszałem pracowników Instytutu Problemów Fizycznych i związanego z nim Instytutu Fizyki Teoretycznej AN ZSRR do wygłaszania wykładów w PWR, wystosowałem więc do Profesora Kapicy list z gratulacjami (1978). Treści listu dokładnie sobie nie przypominam, ale pamiętam, że mocno się nabiedziłem, aby uniknąć Scylli – tak dawno się należało, i Charybdy – tak późno. Otrzymałem, oczywiście, podziękowania za gratulacje.

Penzias i Wilson zostali laureatami Nagrody Nobla za odkrycie promieniowania relikтового, a Kapica za odkrycie nadciekłości 4-He. Zjawiska te łączy subtelny związek „jedności przeciwnieństw”, jakbyśmy powiedzieli w pozaprzeszłej epoce. Rzecz w tym, że promieniowanie reliktowe odpowiada promieniowaniu ciała doskonale czarnego o temperaturze $\sim 2,8$ K, nadciekłość 4-He występuje natomiast w temperaturze niższej niż 2,17 K. Promieniowanie reliktowe to świadectwo pierwotnego, wybuchającego Wszechświata, który – rozszerzając się – tracił, ze względu na rozrzedzenie, równowagę pomiędzy materią a promieniowaniem i jednocześnie obniżał temperaturę tego ostatniego. W istocie rzeczy, na tej samej zasadzie, na jakiej dmuchanie chłodzi oparzone miejsce. Jeśli tak, to we Wszechświecie nigdy nie było temperatury niższej od temperatury promieniowania relikowego, a więc i temperatury, w której 4-He staje się nadciekły.

Czytelników *Księgi rodzaju* nie od dziś intryguje fraza, mówiąca o tym, że Bóg, stworzywszy coś: *zobaczył, że to coś jest dobre*. A więc, nawet w wypadku takiej „Osobowości” (x3) idea jest mniej pełna od rzeczywistości! Można, wobec tego, powiedzieć, że realizując nowe zjawiska w warunkach dotychczas niespotykanych, stwarzamy rzetelną satysfakcję Bogu! W podanym wyżej sensie odkrycia Kapicy i Penziasa z Wilsonem dopełniły się. Po Nagrodzie Nobla dla Kapicy „Problemy”, a był taki bardzo dobry miesięcznik popularnonaukowy, poprosiły mnie o artykuł o Nim. W temacie tym występowała w okresie „późnego Gierka” pewna subtelność. Rzecz w tym, że Kapica – po śmierci ojca, żony i dzieci (koniec roku 1919, początek 1920), jako rezultatu „hiszpanki” o większej liczbie ofiar niż zebrała I wojna światowa, i odchorowaniu samemu – był życiowym rozbitkiem. Rodzajem trawy ratunkowej stała się wizyta w Anglii i praca w Cavendish Laboratory, kierowanym przez Ernesta Rutherforda. Dokonane tam zostały ważne odkrycia, dotyczące przewodnictwa w niskich temperaturach i silnych polach magnetycznych, a także istotny po-

stęp w ich uzyskiwaniu. Tragedię osobistą pomogło Kapicy przełamać małżeństwo z Anną Kryłową, córką znakomitego budowniczego okrętów, Aleksieja, przebywającego na emigracji (1927). W roku 1930 Kapica został dyrektorem Mond Laboratory w Cambridge, ukierunkowanym na badania w silnych polach magnetycznych i niskich temperaturach.

Niezależnie od swoich zajęć naukowych, Kapica systematycznie w czasie urlopów odwiedzał matkę w ZSRR. Nie pozwolono Mu stamtąd powrócić w roku 1934. Są wszelkie podstawy, aby sądzić, że Kapica przeprowadził już wtedy badania wstępne, dotyczące nadciekłości 4-He. Ze względu na unikatowość wyposażenia Mond Laboratory badań tych nie można było kontynuować w ZSRR. W swoim popularnym artykule starałem się ten dramatyzm pokazać, czego nie mogłem zrobić bez jasnego przedstawienia sprawy. Dodam, że wszystkie „kulturalniki” – a był ich legion – sprawę tę przemilczały, podobnie jak niskonakładowe „Postępy Fizyki”. Dodajmy, aby nie powiększać dramatyzmu, że przy pomocy Ernesta Rutherforda wyposażenie Mond Laboratory przewieziono do Moskwy, do obecnego Instytutu Problemów Fizycznych. Prace, nagrodzone później Nagrodą Nobla, mogły być kontynuowane!

Mój minidramat polegał na tym, że skierowałem swój artykuł do „Problemów” w ostatnim dopuszczalnym przez redakcję terminie, sprzeciwiając się w ostrych słowach ewentualnym zmianom – *nie chcę produkować ekskrementów tego rodzaju!* Mógł więc się nie ukazać w ogóle. Ukazał się w niezmienionej postaci!

Warto jeszcze podkreślić, że Kapica był człowiekiem o ostrym, sarkastycznym dowcipie, a Jego powiedzonka krążyły w środowisku naukowym. Słynna była Jego reakcja na polecenie stworzenia planów naukowych instytutów AN na 15 lat. W odpowiedzi przyniósł plany naukowe Akademii sprzed 15 lat. Przewidywały one wydatne powiększenie sprawności lokomotyw parowych. W czasie żądania nowych planów lokomotywy parowe zostały radykal-

nie zastąpione przez spalinowe. „Otwarcie” nauki na kontakty z Zachodem po roku 1956 porównywał do polityki zastąpienia abstynencji seksualnej zdrowego mężczyzny przez pozwolenie mu na nader powierzchowną penetrację, jeśli użyć sformułowań eufemicznych.

W okresie niełaski, kiedy to Beria bezskutecznie domagał się od Stalina możliwości fizycznego rozprawienia się z Kapicą, zorganizował On, wykorzystując swój olbrzymi talent do majsterkowania, całkiem przyzwoite laboratorium badania plazmy u siebie na dacy.

Zwiedzałem mieszkanie-muzeum Kapicy na terenie IFP w połowie lat osiemdziesiątych; zdążyłem być jeszcze przedstawiony wdowie po Kapicy. Mieszkanie to było zaopatrzone w potężne zaplecze warsztatowe. Kapica umiał i lubił w charakterze relaksu zająć się naprawą np. starego zegara. Przytoczone fakty charakteryzują Kapicę raczej jako homo faber. Cechowała Go jednak olbrzymia kultura. Był otwarty na nowe, może nie najnowsze, kierunki sztuki. Mikrowystawy malarstwa i rzeźby w hallu przed salą seminaryjną w IFP zawierały zawsze kilka obiektów sztuki w dobrym guście, choć może nie sięgające szczytów modernizmu. Mówię to z pozycji wielokrotnego, naocznego świadka.

Przez pewien czas wisiał tam, należący do Kapicy, obraz – przedstawiający dwójkę przyjaciół: Kapicę i Nikołaja Siemionowa (Nobel z chemii w latach czterdziestych ubiegłego wieku) – namalowany na początku głodnych w ZSRR, szczególnie dla inteligencji, lat dwudziestych ubiegłego wieku. Portret był namalowany przez znakomitego malarza Borysa Kustodiewa. Honorarium – worek ziemniaków! Borys Kustodiew – niepełnosprawny – niedługo potem zmarł.

Ekspozowane na mikrowystawie w IFP dzieła plastyczne budziły niekiedy żywiołowy (?) protest dzielnicowego komitetu Partii (ktoś zauważył, iż dziwną osobliwością ortografii radzieckiej jest to, że wyraz „Bóg” pisze się małą literą, a wyraz „partia”

– wielką). Wtedy jej pierwszy sekretarz dzwonił do Kapicy (do Akademika!), próbując mu wytłumaczyć niestosowność ekspozycji. Z reguły w odpowiedzi słyszał coś w rodzaju: *że też musicie się takimi drobiazgami zajmować...*, a z ekspozycji nic nie zniknęło.

Zaproszenie od Kapicy do odwiedzenia IFP otrzymałem w drugiej połowie roku 1980. Zdecydowałem się tam pojechać w drugiej połowie zimnego i wietrznego listopada. Miałem wtedy na głowie i dyрекcję Instytutu Fizyki i, odciążony in maior pars przez Żonę, budowę domu, w którym teraz mieszkam. Staraliśmy się to zrobić przy pomocy sił najemnych, ale można zaryzykować stwierdzenie, że nie zna życia ten, kto nie budował domu w socjalizmie! Pamiętam, że tuż przed wyjazdem, zwieszając się niekiedy głową w dół – z przystawionego, pożyczonego rusztowania, które trzeba było w terminie oddać – przybijałem deski boazerii „z własnym piórem”. Miały one z reguły tę właściwość, że wpasowane od góry wypasowywały się od dołu i vice versa. Praca, lekko ubranego ze względu na charakter ruchu na rusztowaniu, w dmącym zimnym wietrze, z ciągłymi przeskokami z dolnego pomostu na górny, skojarzyła się mojej Żonie ze starą anegdotą, którą Jej kiedyś opowiedziałem, o szympansie zmęczonym po randce z żyrafą, domagającą się po wielokroć: *tu popieść, tam pocałuj*. Zdążyłem przybić boazerię z jednej strony domu i wyjechałem do Moskwy.

Złożyliśmy, wspólnie z Profesorem Kaganowem, jak już o tym wspominałem, wizytę Kapicy. Zajmował się On wtedy gorącą plazmą, ja zaś teorią cieczy kwantowych, występujących w niskich temperaturach, a więc mówiliśmy na inne tematy. Kapica, potomek polskiego rodu, który osiadł w Rosji w XVII wieku, zapytał mnie: *Co wy, Polacy, widzieliście takiego w Napoleonie?* Wyjaśniłem, że po trzecim rozbiórce mówiono w ogóle o końcu narodu; naród utożsamiano z podwładnym mu terytorium. I że dopiero *Jeszcze Polska nie zginęła* – to rezultat epoki Napoleona.

Niedługo przedtem ukazała się duża i ciekawa monografia rosyjska A.Z. Manfreda *Napoleon*, którą przeczytałem jakiś czas przed wyjazdem do Moskwy. Jej wyczuwalna podskórnie ideologia sprowadza się do żalu, że w swoim czasie Rosja i Francja nie podzieliły się między sobą Europą, a zepsuł to Napoleon pochodem na Moskwę – niedawne wydarzenia pokazują, że ideologia ta ma skłonność do odżywania. Nie sposób, oczywiście, sprowadzić tej ciekawej monografii wyłącznie do ideologii. Nie byliśmy pewni, czy Manfred jeszcze żyje; Kapica poprosił do siebie swojego Sekretarza (z wielkiej litery!) Pawła E. Rubinina, którego ojciec znał Manfreda. Okazało się, że Manfreda nie było już wśród żyjących. Paweł E. Rubinin wydał niezwykle ciekawy zbiór listów Kapicy do władz, w tym do Stalina, Berii, Mołotowa i in. (*Moskowskij Raboczij*, 1988). Listy te, dla Czytelnika rozumiejącego realia miejsca i czasu, są świadectwem wybitnej odwagi Kapicy. Przypomnijmy, że mogło się to nader smutno skończyć dla Niego i Jego rodziny. Mógł być *wdeptany w błoto obozowe*, jeśli użyć brutalnych słów Ławrientija Pietrowicza.

I jeszcze jedno: jako oficjalny gość Akademii miałem do dyspozycji auto z kierowcą na każde telefoniczne wezwanie. Nie przejawiałem obyczajów nuworysza i starałem się nie nadużywać tego przywileju. W podobnej sytuacji byłem już wcześniej, w roku 1975 w Charkowie. Pojechałem z Profesorem Kaganowem, który sporą część młodości i dojrzałego życia naukowego tam spędził, poza wyjętymi z życiorysu latami 1939–1946. Rodzice Musika jeszcze żyli. Miałem bardzo serdeczny kontakt z Jego Rodziną, szczególnie z Ojcem – Izaakiem Jakowlewiczem – filologiem z wykształcenia, specjalizującym się w edytorstwie. Pewne przywileje Akademii w ZSRR mogą obecnie wzbudzać wesołość, ale warto podkreślić, że jej statut, oparty w znacznej części na przepisach ustalonych przez Piotra Wielkiego, nie pozwalała usunąć z jej składu zarówno Sacharowa, jak i – wcześniej – Mołotowa.

Nie chcę, ponad obraną miarę, przedłużać. Wymienię, dla porządku, prawie wszystkich naszych gości, oprócz tych, którzy byli tu już wspomniani. A więc gościli u nas (mowa przy tym o pobytach miesięcznych): obecny wiceprezydent Rosyjskiej AN, Aleksander F. Andriejew (z małżonką), Aleksander Z. Pata-szynski (parokrotnie, w tym również z małżonką). Profesor Pata-szynski został promotorem pracy doktorskiej obecnego profesora PWr Antoniego Mitusia (1981), obronionej w Nowosybirsku. Ze swoim dawnym doktorantem utrzymuje On żywe kontakty naukowe po dziś dzień, pracując w Chicago. Wymieńmy jeszcze z dubnieńczyków Profesora Nikołaja N. Płakidę, współpracującego, w swoim czasie, bardzo aktywnie z Profesorem Henrykiem Konwentem, oraz Profesora Wiaczesława Priezheva.

Zdarzył się również, w związku z naszymi gośćmi, przypadek patologiczny. Co gorsza, motywem zaproszenia była, w pewnym stopniu, chęć przetarcia naszemu gościowi szlaków w dalszych podróżach. Usiłował On popełnić w Polsce samobójstwo. Byłem w tym czasie dyrektorem IF PWr. Działo się to na początku roku akademickiego 1977 i nawał obowiązków nie pozwolił mi skorzystać z miłego zaproszenia, nieżyjącego już dziś, Profesora Andrzeja Pawlikowskiego do wygłoszenia wykładu na Szkole Fizyki w Szczyrku, organizowanej przez Uniwersytet Śląski. Na moje miejsce pojechał nasz gość. Spędził jakiś czas na Szkole i w drodze do Wrocławia zanocewał w Krakowie, w podmiejskim domu poznanego w Szczyrku fizyka. Tam z rana, zostawszy sam w domu po wyjściu gospodarzy do pracy, usiłował w łazience popełnić samobójstwo, przecinając sobie żyły. Uratowało Go to, że woda z wanny trafiała nie do szamba, bo kanalizacji tam nie było, a do przydrożnych rowów, w związku z czym sąsiedzi zauważyli jej niezwykle barwę. Wezwali pogotowie i naszego gościa udało się uratować. Zawiadomiono mnie, ja zaś ówczesnego Prorektora ds. Współpracy z Zagranicą, nieżyjącego już Profesora Bogusława Kędzię, ten zaś Ambasadę ZSRR. Jak mi mówił, w tej sprawie

interesowało ich głównie, jeśli nie jedynie, czy nie nastąpiła przy okazji jakaś prowokacja antyradziecka. Nasz gość spędził parę dni w szpitalu i parę następnych dni w zakładzie psychiatrycznym. Trzeba Go było stamtąd odebrać, w czym ludzie zainteresowani uprzednio ewentualną prowokacją antyradziecką przejawili kompletne désintéressement. Co gorsza, służby PWr, zajęte aktualną wizytą szerokiego kierownictwa współpracującej z nami Politechniki Kijowskiej, nie mogły skierować do Krakowa auta z kierowcą. Sam, choć zmotoryzowany, nie mogłem pojechać ze względu na obowiązki we Wrocławiu. Przyszło mi prosić Doktora Józefa Malchera i, na wszelki wypadek, Profesora Ryszarda Gonczarka i Doktora Adama Kołodziejczyka jako asystę. Jak mi wiadomo, przejazd Kraków–Warszawa przebiegł spokojnie. Doszły mnie później wieści, że nasz ówczesny gość wrócił do normalności i pracy. Wydawało mi się niepotrzebnym wścibstwem szukanie kontaktu z Nim; z Jego strony również nie było prób nawiązania kontaktu.

Postscriptum

Dla tych, którzy nie zapomnieli języka rosyjskiego przytaczam, wspomniany w tekście, ośmiowiersz Dawida Samojłowa. O ile mi wiadomo, nie był on nigdy przekładany na język polski. U nas, podobnie jak w ZSRR, nie byłby popularny, choć z zupełnie innych powodów. Oto on:

*Ne ver' učenikam. Oni isportijat delo.
Raznimut, raskradut, rastaščut po častjam
I opozorjat duch i pochoronijat telo
I ne dadut v zemle spokojno tlet' kost'jam.*

*Ne ver' učenikam. Za dver' ich mirno vystav,
Im posoch v sled švyrni. Snimi s sebia svoi san
Buntujsa že Christos. Goni evangelistov
I na Gol'gofu podnimajsa sam.*